Nr. 51. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 21 grudnia 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O metodzie w nauce ekonomji politycznéj

napisał

Dr. Józef Descours de Tournoy.

(Dokończenie).

T. Buckle*) ułatwia niesłychanie zrozumienie Smitha, gdyż ten zdolny amplifikator Monteskiusza całym charakterem swego umysłu należy do przeszłego wieku i jest jakoby współcześnikiem Smitha a przez to lepiéj go rozumie, chociaż zadawalnia się zupełnie tak etyką Smitha, jak i jego metodą naukową. Jego tak nazwany pozytywizm zadowolniony jest bardzo, że Smith do etyki i ekonomji używa téj saméj metody, która w chemji i fizyce wyborne daje rezultata.

Chemik lub fizyk dla poznania dobrze jakiéjś siły lub pierwiastku stara się go odosobnić, i w ten sam sposób Smith starał się odosobnić naprzód sympatję, potém egoizm, zapominając, że chemik i fizyk odosobniają rzeczywiście siłę lub pierwiastek, który rozbierają, podczas kiedy odosobnienie uskutecznione przez niego jest tylko idealném, to jest zostaje zawsze w głowie tego, co je przedsiębierze, jako hipoteza a bardziéj jeszcze jako fikcja.

Metoda każdéj nauki musi wypływać z jéj natury i nauka nie może dać dobrych rezultatów, jeżeli nie jest traktowaną w sposób właściwy. Nie byłoby do dziś dnia astronomji, gdyby matematycy chcieli materjalnie mierzyć przestrzeń. Pozytywizm angielski nietylko Buckla ale nawet Milla nie chce nic o tém wiedzieć i tym sposobem można o nich powiedzieć, że jeszcze razem ze Smithem opierają się na Locku.

Sentymentalizm moralny Smitha nie znosi, jak to zauważyliśmy, Locka w filozofji teoretycznéj. Poznanie tak dla Smitha jak i współczesnych pozytywistów angielskich jest zawsze wyłączną pracą zmysłów, a rozum gra przy niém bierną tylko rolę. Nie chcą nic wiedzieć o krytycznéj analizie Kanta, którą dowiódł, jak rozum porządkuje chaotyczne wrażenia, nadając im swoje poglądy czasu i przestrzeni, a przedewszystkiém przyczynowości i tém samém z wrażeń robi poznanie. Tym sposobem Smith nie może przyznawać żywiołu subjektywnego w poznaniu w ogóle, a tém samém w żadnéj nauce, i błąd jego zależy właśnie na tym realizmie dogmatycznym, właściwym szkole, do któréj należał.

Widział on działalność ludzką jako przedmiot wspólny etyki i ekonomji, według sposobu myślenia szkoły filozoficznéj, do któréj należał, nie mógł się dopatrzyć różnicy między temi dwoma naukami w żywiole subjektywnym, to jest sposobie zapatrywania się na czynności ludzkie, ale jéj szukał w żywiole objektywnym, w przedmiocie samym tych nauk, i tym sposobem zdawało mu się, że się podjąć może podziału czynności ludzkich na te, które są przedmiotem etyki i takie, które są przedmiotem ekonomji. Czynności ludzkie, pochodzące z sympatji, mają być przedmiotem etyki, czynności ludzkie, pochodzące z dobrze zrozumianego egoizmu, mają być przedmiotem ekonomji.

Widzimy tutaj niekonsekwencję systemu, a raczéj jego naukową niemożliwość, gdyż jedyne kryterjum do rozróżnienia dwóch tych nauk jest nietylko subjektywne, ale tak ściśle osobiste, że nie może być nigdy poznaném, gdyż za kryterjum służą pobudki działania, sympatja lub egoizm, a niepodobieństwem jest znać już nietylko prawdziwe pobudki działania innych, ale nawet własnego. Bankier jakiś może być bardzo dobroczyn-

*) History of Civilisation of England. Vol. V. Chapter XX. An examination of the intellect during the eighteenth century.

nym dla podtrzymania własnego kredytu, tak jak i przyjaciel ludzkości założyć fabrykę jedynie tylko dla tego, ażeby dać zatrudnienie biedakom cierpiącym nędzę.

Ta niekonsekwencja systemu Smitha powinna nas nauczać, że różnicy pomiędzy etyką a ekonomją polityczną gdzieindziéj szukać należy, a nie w ich przedmiocie. Co do przedmiotu etyka i ekonomja a nawet wszystkie nauki polityczne są z nią identyczne, gdyż wszystkie zajmują się czynnościami ludzkiemi, a różnica ich zależy tylko na poglądzie.

Sąd nasz moralny bada, czy czynności ludzkie odpowiadają idei dobra, a nauki polityczne badają o ile te czynności są społeczeństwu użyteczne.

Etyka jest właściwie tak łatwą w teorji, jak trudną w praktyce, i każdy sobie dedukuje z prawd najogólniejszych i najwyższych jakie uznaje, pewne maxymy dla swego postępowania.

Każdy opierając się czy to na wierze w Boga, czy to na przekonaniu o porządku świata, znajduje podstawę do osądzenia własnych i cudzych czynów. Sąd moralny jest zawsze a priori, gdyż dotyka on czynu tylko jako symptomu woli, tylko bowiem wola podpada pod sąd moralny.

Jako zjawisko psychologiczne sąd moralny*) to jest przyznanie lub nagana z jaką sądzimy czyny cudze lub własne, podobnym jest bardzo do tego, co się nazywa uchem w muzyce. Tak jak to ucho muzykalne obejmuje a priori nieświadomie, pewne proporcje między wibracjami dźwięku i znajduje przyjemność kiedy te proporcje są słuszne, tak samo sąd moralny obejmuje a priori stosunki konieczne i logiczne pomiędzy przedmiotami które poznając stają się podmiotami, to jest istotami rozumnemi, ludźmi.

Obejmowanie to a priori kategorji logicznych, podobnie jak ucho obejmuje w muzyce a priori proporcje matematyczne, pociąga za sobą, że sąd moralny wymaga tak słuszności tych stosunków, jak ucho wymaga właściwych proporcji w wibracji dźwięku. Formuła tego wymagania sądu moralnego jest bardzo prosta i wyraża je rzymskie suum cuique, jednakże nie w prawném tego słowa znaczeniu. Pierwszą daną tego wymagania jest: „Jesteś przedmiotem między przedmiotami, i nie ma innéj różnicy między tobą i nimi jak tylko to, że je poznajesz, czyli, że się stajesz podmiotem, te zatém przedmioty które są podobne do ciebie, stają się także podmiotami;“ koniecznym zaś ztąd postulatem: „winieneś zatém tak uważać te przedmioty podobne do ciebie, jak siebie samego.“

Dla sądu moralnego jest najzupełniéj to samo, co dla ucha muzykalnego nuta fałszywa, widzieć jak ktoś psuje ten harmonijny stosunek i poświęca innych dla siebie, albo też swoją godność innym. Ten zbytek podmiotowości lub przedmiotowości zupełnie jest tém samém dla sądu moralnego, czém nuty fałszywe dla ucha.

Istnieje jeszcze inne podobieństwo pomiędzy uchem muzykalném i sądem moralnym, to jest, że nie u wszystkich istnieje w tym samym stopniu i rodzaju, gdyż są tacy, którzy, jak krytycy muzyczni, cenzurują czynności, stawiają i odkrywają prawa, i są znowu tacy, którzy podobnie jak mistrze i artyści wykonywają te prawa, nawet wprzód, nim zostały odkryte. Sąd moralny ma także wiele wspólnego z uczuciem piękna, mianowicie, że staje się zupełnie siebie świadomym dopiéro w sposób widoczny, konkretny, zawsze w czynie. Jak w sztuce nie można abstrakcyjnie określić ideału i piękno musi się objawić jako rzecz widzialna, tak samo piękność moralna czyli słuszność w wyższém tego słowa znaczeniu musi się zawsze objawić w czynie.

Głównym zarzutem, jaki stawiają przeciwko wyobrażeniu, że sąd moralny sądzi a priori a tém samém przeciwko jego uniwersalności, jest istnienie różnolitych obyczajów, fakt ten wszelako wcale nie obala zasady uniwersalności sądu moralnego.

Chociaż właściwie tylko wola jest złą lub dobrą, a czynności tylko o ile objawiają te przymioty woli, są jednak pewne czynności, o których przypuszczać można, że są objawem dobréj woli ze względu na dane okoliczności.

W pierwotnych czasach ludzkości, kiedy ta obejmować dopiéro zaczynała w posiadanie naturę, słabość fizyczna narażała na takie cierpienia i niedostatki, którym niepodobna było zapobiedz, dla tego można sobie wyobrazić powstanie obyczaju zabijania słabych dzieci nowonarodzonych u niektórych narodów starożytnych, lub starych i niedołężnych rodziców u niektórych plemion koczujących; ale nawet te dzikie i krwiożercze obyczaje można przypisać rodzajowi ludzkości. Pierwsze wypadki spowodowane być mogły często się powtarzającém rozpaczliwém położeniem, gdyż powstanie obyczaju zależy na powtarzaniu podobnych czynności przy powtarzaniu się podobnych wypadków. W czasach bowiem najpierwotniejszych człowiek żył już w społeczeństwie i czynności jednych służyć bardziéj jeszcze mogły za normę dla drugich, że musiał być jednostajniejszy sposób ich interpretowania.

Człowiekowi pierwotnemu brakować musiało na formach do wyrażenia uczuć i dla tego skłonnym jest do wyrażania swych uczuć w formie już użytéj przez kogo innego. Powstanie obyczaju zaś ma niesłychane znaczenie moralne.

Sąd moralny dochodzi do naszéj samowiedzy w formie tak samo podmiotowéj, jak każde uczucie lub namiętność. Często bardzo nie możemy dobrze rozróżnić namiętności od szlachetniejszego uczucia, gdyż pod jéj wpływem mamy sąd zupełnie sfałszowany i nie jesteśmy w stanie oddać się wtedy potrzebnym rozważaniom. Właściwie dopiéro genjusz poety tragicznego oświeca pod tym względem wnętrze duszy ludzkiéj i dopiéro wtedy przy oświeceniu go pogodném światłem sztuki można odróżnić namiętność od szlachetniejszego uczucia. Dla czynu, dla działalności ludzkiéj droga ta byłaby za długą, dla tego potrzebuje innego przewodnika.

Potęga namiętności jest tak wielką, że może z właściwą sobie sofistyką zmienić rzeczom pozór i przedstawić namiętność za najszlachetniejsze uczucie; ażeby się nie zbłąkać w tym labiryncie, mamy pewnego i realnego przewodnika w obyczaju, który raz zformowany nie jest już tylko powtórzeniem formy użytéj przez kogoś innego w podobnym wypadku, ale czynnością mającą sama przez się znaczenie, które z czasem zmienia się w symbol wyrażonego pierwotnie uczucia.

Na przykład: za nadejściem starca pierwotnie może powstawano, żeby zrobić mu miejsce, a późniéj czynność powstania stała się główną, a nawet symbolem czci winnéj starości. Przed siwą głową powstań, mówi się we wszystkich językach.

Pierwotne uczucie moralne łączy się w jednę całość z tą czynnością i nadaje jéj znaczenie obowiązku.

Z czasem tak wielka ilość moralnych uczuć znajduje formę gotową w obyczaju, że mierna, przeciętna, że tak powiemy, dobra wola, może sobie nie zadawać nawet

*) Patrz pracę naszą: „Della influenza della filosofia sullo spirito nazionale tedesco“, drukowaną w przeglądzie „Filosofia delle scuole italiane“ z r. 1871.

trudnéj pracy inicjatywy, tylko ślepo wykonywać obyczaj, który komplikując się znowu, może wyrażać bardzo wyszukane i niepospolite uczucia, modyfikować nawet pierwotny charakter człowieka.

Widzimy nieraz, jak obyczaj doprowadzić może człowieka do pogardy życia, do gościnności, do życzliwości dla wszystkich przynajmniéj powierzchownéj, gdyż abstrakcyjny sąd moralny zna tylko formę abstrakcyjną dobrego i złego, obyczaj zaś przedstawia się zawsze w formie więcéj konkretnéj nakazu lub zakazu, dozwolonego i zabronionego.

Do tego samego rodzaju pojęć należą wykwintniejsze choć powierzchowniejsze pojęcia przyzwoitości lub nieprzyzwoitości, a chociaż najczęściéj wyradzają się w czcze formuły, mają jednakże do pewnego stopnia znaczenie ograniczania złych instynktów człowieka. Nie potrzeba nadzwyczajnych zdolności obserwacyjnych, żeby zauważyć, że wielu nie zeszło z wązkiéj ścieżki moralności, wiedzeni bardziéj jeszcze przez uczucia przyzwoitości, aniżeli przez poważny i surowy obowiązek.

Zmienność obyczaju nie dowodzi wszakże zmienności sądu moralnego. Jak już zauważyliśmy, dla miernéj dobréj woli wystarcza stósować się na ślepo do obyczajów i gdyby nie było jakiegoś ideału ogólnego, powszechnego, niezależnego od obyczajów, to te, co raz powstały, nigdy by się zmieniać nie mogły; ale tak nie jest, gdyż znajdzie się zawsze jakaś potężniejsza od innych dobra wola, która uważa, czy się obyczaj zgadzać nie przestał ze zmienionemi okolicznościami i wznosząc się po nad istniejący obyczaj, stara się go reformować. Ta sama dobra i niezmienna wola, która w Mojżeszu kazała się ludowi izraelskiemu wyłączyć od innych narodów, w Chrystusie kazała się z niemi zbratać, ta sama dobra wola mogła twierdzić w Hezyodzie niektóre rzeczy, którym przeczyła w Sokratesie, mogła tolerować u Spartan zabijanie dzieci lub u dzikich — starców, a w naszéj cywilizacji zakładać dla jednych i drugich domy przytułku. Myśl jéj była zawsze jedna, tylko się inaczéj objawiała, w tych zaś objawach swoich dobra wola ocenia się ze względu na kierunek, nie zaś ze względu na powodzenie, i dla tego jest djamatralnie przeciwną naukom politycznym, które zajmują się tylko skutkiem i powodzeniem czynności ludzkich.

Najwłaściwszą definicją dla nauk politycznych byłyby nauki, które się zajmują czynnościami ludzkiemi, o ile te się przyczyniają do dobrobytu społeczeństwa, ekonomji zaś politycznéj nauka, która się zajmuje badaniem w jaki sposób czynności ludzkie przyczyniają się do dobrobytu materjalnego społeczeństwa; dla tego stanowisko utylitaryzmu a z nim i John Stuarta Milla jest zawsze politycznem tylko, nawet wtedy, kiedy się moralistą być mieni*).

Z natury nauk politycznych wypływa konieczna im naukowa metoda, podczas kiedy etyka z prawd ogólnych wyprowadza coraz specjalniejsze maxymy; nauki polityczne tak jak nauki przyrodzone muszą się doświadczeniem dowiadywać, co społeczeństwu jest lub nie jest użytecznem.

Musimy tu dodać jeszcze, że z Simondim przyjmujemy oprócz ekonomji, to jest nauki badającéj, co społeczeństwu jest użytecznem względem dobrobytu materjalnego, przyjmujemy także politykę cywilizacyjną, badającą, co społeczeństwu jest korzystnem pod względem moralnym i umysłowym. Wszystkie państwa, które mają ministerstwa kultu, oświaty, sztuk pięknych itp. tem samem przyznają istnienie podobnéj polityki, przynajmniéj jako sztuki. Nikt nie może oznaczyć granicy między polityką ekonomiczną i cywilizacyjną; dobre szkoły są ważnym czynnikiem produkcji, dobre obyczaje i publiczne zaufanie ułatwia kredyt, praca i oszczędność umoralniają człowieka. Obiedwie mają jeszcze to wspólnego, że mogą dochodzić do prawd rzeczywiście naukowych tylko doświadczeniem. Doświadczenie zaś, którego mogą i muszą używać, nie może być experymentem ale obserwacją, przyczem pomocnemi jéj są dwie nauki: statystyka i historja.

Statystyka uważana jako fizyka społeczna, która zajmuje się człowiekiem jako molekułą społeczeństwa, jako jednostką należącą do gatunku homo sapiens Linneusza, nie zajmuje się nigdy niczem indywidualnem i zawsze ma tylko przed oczami człowieka przeciętnego (l'homme moyen) Queteleta. Pod tym względem historja jéj dopełnia, gdyż zajmując się stawaniem się człowieka cywilizowanego, ostatnim jéj rezultatem powinno być zanalizowanie wszystkich sił i warunków cywilizacji, znajdujących się w danem społeczeństwie.

Oprócz tego historja wykazując jakie obyczaje, jakie prawa, jakie instytucje odpowiadają pewnemu stanowi społecznemu, jest konieczną podstawą każdéj nauki politycznéj.

Chociaż kwestja metody naukowéj wydaje się abstrakcyjno-naukową, pełną jest jednakże i praktycznéj doniosłości. Jeżeli w ekonomji nie przyjmuje się tylko doświadczenia jako drogę do osiągnięcia naukowych rezultatów, praktycznym mężem stanu będzie nie ten, który zechce do swego społeczeństwa stosować wyuczone na pamięć formułki, ale ten przedewszystkiem, który zna dobrze swoje społeczeństwo i rozumie dobrze zadania fazy jego obecnego rozwoju. Inne zadania ekonomiczne ma obecnie w téj chwili Anglja lub Francja, inne zaś Polska lub Rosja, i inne téż zapewne środki ich rozwiązania.

---

*) Żeby uniknąć nieporozumień z powodu naszych sądów o utylitaryzmie dodać powinniśmy, że przyjmujemy wprawdzie pierwszeństwo sądu moralnego, który się zajmuje czynnością człowieka, że tak powiemy, a parte ante, ze względu na wolę wykonywującego jest za to zupełnie ślepym i nie sądzi skutków czynności.

Wola, żeby być dobrą, nie potrzebuje doświadczenia, ale żeby robić dobrze, potrzebuje się niem oświecić. Jeżeli kto wie, że popełnia czyn nieużyteczny lub szkodliwy społeczeństwu, do którego należy, czyn jego nie wypływa z woli moralnie dobréj, ale z niedorzecznego kaprysu. Dla tego stosunek moralności do użyteczności można zcharakteryzować w ten sam sposób, jak Kant zcharakteryzował stosunek filozofji do teologji. Teolodzy z czasów Kanta twierdzili, że filozofja powinna być sługą teologji. Tak jest, odpowiedział Kant, ale sługą, która swéj pani drogę oświeca.

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Ciąg dalszy.)

II.

W 1796 roku 17 listopada umarła Katarzyna II, a na tron wstąpił syn jéj Paweł I i w roku następnym odwiedził Wilno. Paweł przyjechał 15 maja. Wielkie wtedy nadzieje pokładali Polacy w tym cesarzu, który dawał niejakie oznaki swéj życzliwości dla nas. Pamiętném było uwolnienie Kościuszki z więzienia i łaskawe przyjęcie, jakiego doznawali magnaci z zabranego kraju, obecni w Petersburgu. Wspaniale i hojnie podejmowano go w Wilnie. Sławny rektor Marcin Odlanicki Poczobut witał go mową i oprowadzał po gabinetach akademickich, jak również pokazywał obserwatorjum, którego wspaniała budowa zachwyciła Pawła, co téż wyraził własnoręcznym podpisem w księdze na ten cel sporządzonéj. — Szlachta wystąpiła z balem w gmachu ratuszowym — bal ten trwał aż do 9 rano i cesarz był ciągle obecny.

Jeszcze przedtém, 15 lutego, Stanisław August po raz ostatni był w Wilnie w podróży z Grodna do Petersburga.

Nie ziściły się nadzieje — wkrótce poumierali Stanisław August (19 lutego 1798) i Paweł I (11 marca 1801), a nadzieje przeniosły się na młodego wówczas, najliberalniejszego, jak się zdawało, Aleksandra Igo. Wkrótce téż, bo w następnym roku (6 czerwca) przybył on do Wilna, przyjmowany téż z niesłychaną czułością. Aleksander często potém bywał w Wilnie. Nęciła go tu piękna pani Salistrowska, która i w lat trzydzieści kilka potém z dumą mawiała w towarzystwach: „alboż nie prawda jak mój syn podobny do cesarza Aleksandra?“ Wieleby można spisać anegdot o miłostkach Aleksandra, które miewał wszędzie, nawet po karczmach i stacjach pocztowych, jak naprzykład w Niemenczynie, gdzie jeszcze przed kilku laty żyła żydówica, która, gdy ją za coś zaczął łajać stanowy prystaw, ofuknęła go z hałasem: „jak ty śmiesz mnie łajać, kiedy oto tę samą rękę cesarz całował!“ — Na takie dictum musiał zamilczeć prystaw. Aleksander lubił zwiedzać piękną majętność Góry pod Wilnem, a wracając zajeżdżał nieraz do karczmy Tyszkiewiczowskiéj, sławnéj rakami karmionemi w mleku i kurczętami. Tu zasiadał w altance, a nadobne Litwinki mu usługiwały.

Dnia 24 stycznia 1803 r. utworzono okręg naukowy wileński, pod władzę którego podpadały wszystkie litewskie gubernje, oraz Wołyń, Podole i Kijowszczyzna. Kuratorem cesarz mianował osobistego przyjaciela swojego, towarzysza ministra spraw zagranicznych, księcia Adama Czartoryskiego. Dnia 18go zaś maja akademja wileńska otrzymała nazwę uniwersytetu, utworzonego z czterech wydziałów: fizyczno-matematycznego, nauk moralnych i politycznych, literatury i sztuk pięknych, i medycznego. Do składu uniwersytetu należeli rektor, 4 dziekanów, 32 profesorów i 12 adjunktów. Późniéj liczba ta zwiększoną została. Po zabraniu funduszów pojezuickich i edukacyjnych na skarb, rząd wyznaczył na utrzymanie uniwersytetu 105 tysięcy rubli srebrem rocznie, co w owym czasie było sumą bardzo znaczną i profesorowie mieli dobre uposażenie.

Nie długo istniał uniwersytet wileński, bo zaledwo lat 30. Jak wielkie jednak miała znaczenie wszechnica litewska, dość jest tu wspomnieć imiona takich profesorów, jak Poczobut, Narwojsz, Jan i Jędrzej Śniadeccy, Piotr i Józef Frankowie, Gucewicz, Smuglewicz, Golański, Bojanus, Grodeck, Lelewel, Jaroszewicz, Gołuchowski, Onacewicz, Jundziłł, Poliński, Niszkowski, Lobenwejn, Homolicki, Abicht, Rymkiewicz, Korzeniowski, Borowski, Porcyanko, Wolfgang i tylu innych. Dość jest wspomnieć imiona sławnych uczniów uniwersytetu wileńskiego, jak Mickiewicza, Słowackiego, Czeczota, Zana, Malewskiego, Malinowskiego, kilku Chodźków, Narbutta, Kraszewskiego, Balińskiego, Odyńca, Tyszyńskiego, Jochera, Szydłowskiego, Zdanowicza i wielu, bardzo wielu innych, którzy byli ozdobą społeczności polskiéj, a niejeden imię swoje przekazał dalekiéj przyszłości.

Nie mamy historji uniwersytetu wileńskiego. Posiadamy wszakże niemało już materjałów, jako ważnych przyczynków do dziejów téj wszechnicy litewskiéj. Jako jeden z takich przyczynków pozostaje pamiętnik sławnego botanika i profesora S t a n i s ł a w a J u n d z i ł ł a, w części tylko drukiem ogłoszony, a którego całość posiadamy u siebie i może kiedyś w zupełności ogłosimy. Tu zaś podajemy tylko ustęp o p r o m i e n i s t y c h, f i l a r e t a c h i f i l o m a t a c h.

Zdanie znakomitego profesora za s u r o w e, a może z wielu względów i s t r o n n e. Zimno, sceptycznie patrzał on na młode, może i zapalone głowy, które usiłowały otworzyć szersze i światlejsze drogi dla oświaty narodowéj. Zacny Jundziłł wiedział o przywarach, ale niewtajemniczony w zamiary i zakres działań towarzystwa, jak sam to wyznaje, nie wiedział o szczytnéj stronie, o poświęceniu się i miłości kraju bez granic. Nie wszyscy byli zacni, których Jundziłł chwali, jak również nie wszyscy godni nagany, których on osądza. Towarzystwo, do którego należało tylu znakomitych mężów, którzy całém życiem dowiedli nieskazitelności i zacności swych uczuć; towarzystwo, które zjednało tak wielki rozgłos i obudziło tak wielkie współczucie całego kraju — zasługuje na uwzględnienie jeżeli i miało jakie wady, skutkiem młodości, niedoświadczenia — lecz nigdy złéj woli.

Tyle już pisano o promienistych i filaretach, a jednak przedmiot to dotąd niewyczerpany. Najciekawszém zapewne jest to, co niedawno skreślił jeden z najstarszych filaretów, Domeyko. A o ile wiemy, żyje jeszcze kilku dotąd (Abramowicz, Piasecki, Odyniec, Kowalewski, może i jeszcze kto), niechby więc wystąpili w obronie pamiętnego towarzystwa.

Z tych to przyczyn sądzimy, że robimy przysługę czytelnikom, zamieszczając w następującym rozdziale ustęp o promienistych i filaretach przez Jundziłła skreślony.

Jundziłł znany był nietylko z wielkiéj nauki i licznych zasług w uniwersytecie i kraju, ale i jako człowiek wielkiéj prawości. Miał jednak, zdaje się, wadę zbyt surowego i niepobłażliwego sądu o rzeczach i ludziach, z którymi nie sympatyzował. Przebija się to nie w jednym tym ustępie, który tu podajemy — lecz i w ogóle w jego pamiętnikach. Niemniéj jednak któż nie przyzna, że są one dla nas drogą spuścizną.

III.

Ustęp z pamiętników
profesora **Stanisława Jundziłła**
o promienistych, filaretach i filomatach.

„Związek młodzi szkólnéj w sekretne towarzystwo Promienistych na początku wiosny r. 1819, był nowém

i pierwszém w swym gatunku w uniwersytecie zdarzeniem. Tomasz Zan, Franciszek Malewski i Jan Czeczot — byli związku tego twórcami. Promienistemi się nazwali, iż wychodząc rano na wspólne przechadzki, obrady swe pod otwartém niebem i niby pod wpływem promieni wschodzącego słońca odprawiali. Bytność tego towarzystwa nie była nikomu tajną; porządkowe nawet niektóre ustawy były wszystkim znajome. Moralność, obyczajność i nauki miały być głównym jego celem; lecz odrażliwa zarozumiałość członków, duch korpusowy, wyłączne sprzyjanie związkowym i odosobnianie się od tych, którzy nie chcieli lub nie mogli liczyć się w ich gronie, powszechną prawie w ogóle szkólnéj młodzi ściągało ku nim niechęć.

Towarzystwo to trwało już dwa lata, i wiele z różnych naukowych oddziałów liczyło członków, gdy sekretne stowarzyszenia studentów w północnych niemieckich uniwersytetach poczęły obudzać baczność rządu na podobne w kraju naszym związki. — O zgromadzeniu Promienistych miał od niejakiego czasu wiadomość wojenny litewski gubernator Korsakow; a otwarcie niechętny szeroko wtedy rozkrzewionemu towarzystwu wolnych mularzy, często się odzywał, iż w Wilnie prócz Massonów i Illuminaci się znajdują, łącząc mylnie, dla podobieństwa wyrazów, dwa tak różne i żadnego z sobą stosunku nie mające stowarzyszenia. W połowie więc maja r. 1821, rektor Malewski, powodowany sprawiedliwą troskliwością o skutki z tego niedoświadczonéj młodzieży związku wyniknąć mogące, powziąwszy wiadomość o czasie i miejscu zgromadzenia, udał się doń, tawarzystwu niezwłocznie rozejść się kazał i zgromadzać się na potém surowie zabronił. Towarzystwo przyjęło z pozorném uszanowaniem napomnienie rektora, i nie okazując najmniejszego oporu, spokojnie się rozeszło. To rozwiązanie towarzystwa Promienistych było powodem do utworzenia wkrótce nowego związku pod nazwiskiem Filaretów. Ci sami naczelnicy, którzy byli twórcami pierwszego, utworzyli wkrótce to drugie, lecz już tak ściśle tajemne i tak uorganizowane, iż najpoufalsi członków przyjaciele, krewni, rodzice nawet, najmniejszéj o tém zgromadzeniu nie mieli wiadomości; owszém, młodzi członkowie o liczbie i rozciągłości, a zapewne i o istotnych zamiarach stowarzyszenia nie wiedzieli. Nieprzewidziany przypadek odkrył tak ściśle przez dwa lata tajony związek i ściągnął na stowarzyszonych okropne klęski.

Roku 1823 niektórzy uczniowie gimnazjalni klasy piątéj, uniesieni zwyczajną wieku swego płochością, napisali na tablicy szkólnéj wielkim charakterem: Vivat konstytucja 3go maja! i napis ten w obec całéj szkoły przez kilka godzin nietartym zostawał. Uwiadomiony o tém wojenny gubernator napis ten, jako wznawiający pamiątkę z wielu miar sławnéj w kraju naszym epoki, za zbrodnię stanu poczytał, i nietylko w urzędowém piśmie surowie to rektorowi wyrzucił, lecz zniechęcony wówczas z innych względów dla uniwersytetu, w raporcie swym wielkiemu księciu Konstantemu przedstawił, dodając, iż ma wiadomość o istniejącém od dawna między młodzieżą szkólną sekretném patrjotyczném towarzystwie. W skutek czego nastąpiło niezwłocznie, na rozkaz rektora, uwięzienie i badanie wielu uczniów gimnazjalnych o rzeczony napis podejrzanych. Jakoż sprawcy téj płochości: Jan Czechowicz, Michał Plater, Benedykt Kościałkowski i Józef Kułakowski byli wkrótce odkryci i w miarę przestępstwa ukarani.

Dnia 17 tegoż miesiąca, za nadejściem niespodziewanego od wielkiego księcia rozkazu, rektor uniwersytetu Twardowski, prefekt gimnazjalny Józef Skoczkowski, oraz nauczyciele: Alexander Żyliński i Jan Waszkiewicz aresztowani i pod strażą wojskową osadzeni zostali.

Dnia 7 lipca przybył do Wilna rzeczywisty tajny radca i senator państwa Mikołaj Nowosielcow z poruczeniem od cesarza Alexandra ponowienia badań nietylko względem sprawców i zamiaru rzeczonego napisu, lecz i odkrycia wskazanego w raporcie Korsakowa tajnego towarzystwa. Senator ten kazał wprawdzie rektora niezwłocznie a nauczycieli w kilka dni z więzienia uwolnić, lecz obwinieni uczniowie dłużéj zatrzymani, i po ponowioném badaniu najwyższym wyrokiem do służby wojskowéj, wraz z Kajetanem Maksiewiczem, piątéj klasy cenzorem, na prostych żołnierzy skazani i do pułków strzeleckich odesłani byli; badanie zaś o tajném towarzystwie późniejszemu czasowi zostawiono, a, w domniemaniu mogącego się odkryć uczestnictwa, wszystkim członkom uniwersytetu wyjazdu z miasta na zwykłe wakacje zabroniono.

Uwiadomiony o tych wypadkach kurator książę Czartoryski, przybył do Wilna dnia 29 sierpnia i natychmiast wyznaczył komitet z profesorów Bojanusa, Łobojki i Kłągiewicza złożony, do wybadania i dania sobie sprawy o rzeczoném towarzystwie. Stawieni przed komitetem naczelnicy zgaszonego przed dwoma laty towarzystwa Promienistych wyznali wszystko, co już zkąd inąd wiadomo było; lecz bytność nowego swojego Filaretów i Filomatów związku tak dobrze ukryć potrafili, iż komitet, po dostateczném, jak się mu zdawało, wybadaniu, dał raport księciu Czartoryskiemu, że wspomniane w doniesieniu Korsakowa tajne towarzystwo już się od dawna między młodzieżą szkólną nie znajduje. Tém doniesieniem zaspokojony, czyli raczéj omylony kurator, uręczywszy obecnego wtedy w Wilnie cesarza, iż między młodzieżą szkólną żadnych nie masz tajemnych stowarzyszeń, do Puław odjechał.

Około tego czasu badania innego związku uczniów w Świsłoczy, którego Jan Jankowski dawniéj był tam członkiem, a od kilku lat słuchał nauk w uniwersytecie, dało pochop policji zabrania pozostałych w gospodzie jego papierów, gdy się on na wakacjach znajdował; z tych okazała się rzetelna bytność troskliwie dotąd tajonego Filaretów związku. Uwięziony więc Jankowski w domu rodziców swoich i do Wilna sprowadzony, łagodném z sobą obejściem się i nadzieją przebaczenia zniewolony, wyznał wszystko, i nietylko naczelników, lecz i wszystkich prawie członków związku wydał i objawił.

Przed końcem października przybył powtórnie senator Nowosielcow, od najwyższéj władzy do czynienia badań upoważniony, i utworzył niezwłocznie komisję ze znakomitych urzędników złożoną. Leon Baykow, radca stanu, Józef Twardowski, rektor uniwersytetu, Wincenty Ławrynowicz, radca gubernjalny, Hieronim Botwinko, prokuror, Otto Anderson, radca nadworny, Piotr Szłykow, policmajster, komisję tę składali; sam senator Nowosielcow jéj przewodniczył. Nastąpiły aresztowania wszystkich wyznaniem Jankowskiego powołanych członków towarzystwa nietylko w mieście, lecz i po całym kraju rozproszonych. Policje miejskie i powiatowe z odległych nawet gubernji, jak: z Podola, Ukrainy, Wołynia, Białorusi, owszém z Petersburga i t. d. co dzień po kilku ich dostarczały. Wszystkie klasztory zamieniły się w więzienie Filaretów, a straż wojskowa, pod kierunkiem miejscowéj policji, wykonania przedsięwziętych środków najściśléj dostrzegała. Liczne rodziny w smutku i bojaźni o los swych dzieci i krewnych pogrążone zostały.

W połowie listopada rozpoczęły się badania. Celem ich było odkryć naprzód rozległość i zamiary towarzystwa; powtóre wyśledzić, czyli kto z uniwersytetu lub z innych stanów nie miał w niém jakiego uczestnictwa. Co odkryto w pierwszym celu, to pokazuje następujący najwyżéj potwierdzony wyrok. Co do drugiego: mimo najściślejsze badania, nikt ani w uniwersytecie, ani na prowincjach winnym się nie okazał. Większa część pu-

bliczności, znając dobrze płodny w projekta genjusz Kazimierza Kontryma i wielowładny wpływ jego na umysły szkólnéj młodzieży, wskazywała go jednogłośnie jeźli nie twórcą, to przynajmniéj czynnym tego towarzystwa uczęstnikiem; lecz w urzędowém téj rzeczy śledzeniu żadnych dostatecznych nie odkryto dowodów.

Jeżeli z jednéj strony użyte przez komisję środki więzienia i przecięcia wszelkich między uwięzionemi komunikacji zdały się zbyt surowe, z drugiéj zabiegi naczelników o zgodność i jednostajność wyznań i odpowiedzi, równie zręcznemi i dzielnemi się okazały. Przewidzieli oni wcześnie grożącą sobie burzę. Zaufani członkowie rozesłani na wszystkie strony, nauczyli ustnie kolegów, jak się w każdym przypadku zachować, jak się tłomaczyć, co na pytania odpowiadać mają; inni w listach prywatną lecz pewną drogą przesyłanych, podobnież ścisłe otrzymali przepisy. Owszém, nie wiem, czy skutek wnętrznéj organizacji towarzystwa, czy obce a przyjazne im wpływy to sprawiły, iż w czasie rozpoczętych uwięzień, każdy z nowo przywiezionych członków w kilkanaście godzin po swém przybyciu, wiedział już o wszystkich wprzód uwięzionych kolegach, wiedział o naturze badań, równie jak o uczynionych i czynić się mających przezeń wyznań. Tym to trafnym zabiegom przypisać należy tę dziwną i bez żadnego krzyżowania się zgodność w odpowiedziach i tłomaczeniu się stu kilkunastu młodzieńców, która się w ciągu długich badań okazała. (Ciąg dalszy nastąpi).

O pracy dziejopisarskiéj.

Często dają się słyszeć skargi na książki i artykuły, które, nie przynosząc publiczności nic nowego, podają jéj rzeczy albo już z dawna znane albo takie, które znać powinna i z istniejącéj już literatury poznać może. Nic słuszniejszego nad te skargi, nic słuszniejszego nad żądanie, żeby autorowie zwrócili pracę ku tylu niezbadanym jeszcze punktom w dziedzinie nauk i w publikacjach nowe rezultaty na świat przynosili. Jednak ostateczność i w tym względzie może być szkodliwą; specjaliści, którym tylko nowe rezultaty w dziedzinie ich umiejętności są pożądane, stanowią szczupłą ilość; szerszéj publiczności nie przyniosą wprawdzie korzyści znane od dawna rzeczy w nieco świeżéj przyprawie podane, ale potrzebném jest jéj nieraz objaśnienie wielu, niezupełnie dla niéj jasnych punktów, które każdemu, co nieco głębiéj, samodzielniéj w naukę wglądał, aż nadto dobrze są znane.

Z wszelkich nauk — można to wyrzec śmiało — najwięcéj u nas zdziałano stosunkowo w dziedzinie historji; jakkolwiek osiągnięte na tém polu rezultaty nie mogą się mierzyć z owocami dziejopisarskiéj pracy naszych zachodnich sąsiadów, przyznać sobie musimy, że, jak na nasze stosunki, dosyć zdziałaliśmy w tym względzie. I szersza publiczność zajmuje się historją nierównie więcéj, niż wszelkiemi innemi naukami; jeśliby się jednak zapytać, na jakiéj drodze osiągnięto te gotowe rezultaty, o których się dowiaduje, wielu znalazłoby się pewno, którzyby sobie z tego jasno sprawy zdać nie mogli. Co najwięcéj, napotkaćby można niedokładne wyobrażenia, że są jakieś źródła, z których historycy wydobywają swe opowiadania, ale jasne pojęcie o tych źródłach i o pracy dziejopisarskiéj, która je zużytkowuje, jest bez wątpienia niezbyt powszedniém. A ztąd powstaje fałszywe zapatrywanie na całą naukę; nie rzadko spotkać się można z lekceważącém zdaniem o sumiennych, gruntownych, jedynie wartość mających pracach historycznych, podczas, gdy nieraz płytkie, frazesami upstrzone, faktami nieuzasadnione „szerokie poglądy“ ogólne uznanie zyskują. Czasami dają się słyszeć zdania, że faktyczna strona dziejów tak już jest zbadaną, iż na drobne, niewyjaśnione jeszcze punkta, nie warto zwracać uwagi; ztąd niedorzeczne żądania, żeby dziejopisarstwo porzuciło to zmudne pole a zwróciło się do historjozoficznych kwestji. Historycy pewno nie dadzą się przez to sprowadzić z właściwych torów; całéj publiczności szerszéj także nie można przypisywać takich zapatrywań; że one jednak są wcale powszechne, także zaprzeczyć niepodobna. Dla tego nie byłoby może niestósownem, nakreślić w najogólniejszych zarysach szkic pracy dziejopisarskiéj; nie potrzebuję powtarzać, że w nim każdy, kto się bliżéj, samodzielnie historją zajmował, znajdzie same stare i z dawna znane rzeczy.

Nie wchodząc w bliższe określenie pojęcia historji, przyznać jéj możemy tymczasowo najogólniejsze, w każdym razie przysługujące jéj znaczenie, jeśli ją nazwiemy świadomością przeszłości. Ztąd wszystko, co się w mniejszym lub większym stopniu bezpośrednio do przeszłości odnosi, obejmujemy ogólną nazwą źródeł historycznych. Pomiędzy niemi znaczna zachodzi rozmaitość, stósownie do odrębnych wielkich okresów przeszłości, toż samo i zasób ich jest bardzo różny i tak w starożytnych i w wielu partjach średniowiecznych dziejów są one niezmiernie fragmentaryczne, podczas gdy w najnowszéj historji dziejopisarstwo aż trudny niekiedy nadmiarem materjał posiada. Pierwszą wielką grupę pomiędzy źródłami stanowią bezpośrednie zabytki przeszłości, właściwe przedmioty samego dziejowego życia ludzkości. Grupa ta podobną jest poniekąd do materjału nauk przyrodniczych, gdzie także przedmiot jest zarazem źródłem badań. Tu należą przedewszystkiém materjalne zabytki przeszłości, ów rozległy przedmiot zmudnych badań archeologicznych, w pośród którego główne miejsce zajmują sprzęty i ubiory; szacowne te i dla wielu punktów w dziejach niestety bardzo niedostatecznie przechowane zabytki, składają bezpośrednie świadectwo o domowém życiu i ogólnych stosunkach kultury, które w każdym razie tworzą ogólny podkład dziejowego życia ludzkości. Już pomiędzy nimi znajdujemy wiele produktów sztuki plastycznéj; jéj wszystkie zabytki od nieznacznych ozdób na sprzętach, aż do dzieł Michała Anioła, piramid i tumów gotyckich, zajmują bardzo ważny drugi dział w téj grupie. Do dzieł sztuki a zarazem i przedmiotów użytkowych należą następnie monety, których dokładne, bezwątpienia w obec niedostatecznie nieraz przechowanego materjału, bardzo trudne zbadanie ze stanowiska ekonomicznego, wyjaśnia niezrozumiałe, inaczéj zkąd inąd nam przekazane wiadomości o stosunkach społecznych. Najważniejszym zaś kluczem do poznania tychże jest dalszy człon bezpośrednich zabytków przeszłości: pomniki ustaw i prawodawstwa. Po części przechowały się one w gotowych kodyfikacjach, po części w luźnych dokumentach i aktach. Dokumenta w ściślejszém znaczeniu czyli dyplomata są jedną z najważniejszych a zarazem i najpewniejszych kategorji źródeł; oprócz rozmaitéj wartości, jaką mają już z powodu saméj treści, oddają one badaczowi niezmierne usługi w innym jeszcze względzie: służą do kontroli innych źródeł piśmiennych. Dyplomata niektóre przechodzą w formę listów, które stanowią osobny, szacowny dział źródeł; należą tu listy najrozmaitszego ro-

dzaju, od powszednich listów prywatnych, które szczególnie dla dawniejszych epok mogą być ważnemi pod względem historji kultury, aż do korespondencji najwybitniejszych osobistości dziejowych i urzędowych relacji posłów. Do pierwszéj grupy zaliczyć także trzeba mowy publiczne, które, jeśli zostały spisane przez mówcę i w ten sposób utwór literacki tworzą, podają wielce szacowny i pewny klucz do zrozumienia stosunków, do których się odnoszą. — Cała literatura wreszcie, od najpierwszych początków do obecnego stanu rozwoju, stanowi ostatni olbrzymi człon źródeł pierwszéj grupy; jéj płody są przecież bezpośrednimi świadkami duchowego rozwoju ludzkości, w nich odzwierciedla on się najwyraźniéj.

Jeden dział tego ostatniego członu pierwszéj grupy zajmuje najważniejsze stanowisko w drugiéj, którą pośrednie świadectwa źródłowe składają: pomniki i płody dziejopisarskie, które wraz ze wszystkimi innymi działami literatury są samym przedmiotem dziejowego życia ludzkości, przechowują o niém zarazem pośrednie wiadomości i tworzą w ten sposób częstokroć najważniejszy materjał historyczny w obec niedostateczności źródeł pierwszéj grupy, które już z powodu właściwego im charakteru o wielu stronach dziejowego życia nie przekazują zgoła wiadomości. Obfity ten zasób materjału historycznego dzieli się na rozmaite gałęzie. Do pierwszéj grupy najwięcéj zbliżone są annały czyli roczniki, w znacznéj części równoczesne suche zapiski o najważniejszych bieżących wypadkach; zapiski te przybierają niekiedy barwniejszą postać i zbliżają się tak do opowiadań historycznych, różniąc się od nich zewnętrzną, annalistyczną formą. Opowiadania te są bardzo rozmaite według przedmiotu, do którego się odnoszą. Do nich zaliczyć trzeba opisy pojedynczych wypadków, tak ściśle historycznych jak i innych, w których nie tyle główny przedmiot, co poboczne strony opisu na uwagę badacza zasługują; między niemi właśnie ważne miejsce zajmują liczne opowiadania o cudach świętych i t. z. translacje czyli opisy przeprowadzania relikwji do nowych miejscowości, które się o ich posiadanie postarały; w nich spotkać się można często z nieznanemi zkądinąd wiadomościami o ważnych wypadkach zewnętrznych dziejów, szczególnie jednak są one ważnemi źródłami dla historji kultury i dla topografji. Do opowiadań takich należy daléj liczna literatura biograficzna, w średnich wiekach tak obficie reprezentowana przez żywoty świętych i legendy, których wartość dla samego przedmiotu i sposobu przedstawienia często jest bardzo względną; nieraz jednak stanowią one źródło nieoszacowane dla wybitnego stanowiska, jakie często bohaterowie tych legend i żywotów w życiu publiczném zajmowali. Pokrewne częstokroć literaturze biograficznéj są pamiętniki, jedno z najważniejszych źródeł do dziejów nowożytnych, obok annałów najwięcéj do źródeł pierwszéj grupy zbliżone. Opowiadania historyczne innego rodzaju, obejmujące dłuższy przeciąg czasu, zbliżają się do kronik, których nazwę niewłaściwie często otrzymują. Kronikami w właściwém tego słowa znaczeniu są tak zwane kroniki świata, stare kompendja powszechnéj historji a wreszcie dzieła przedstawiające w zaokrąglonéj formie dzieje jakiegoś narodu albo dłuższego, kilka epok obejmującego przeciągu czasu. Kroniki te, jakkolwiek zajmują się wypadkami, o których do nich, tak jak i do nas, wiadomości tylko pośrednio doszły, są mimo to bardzo często niezmiernie ważnemi źródłami, jeśli czerpały z wiarogodnych współczesnych materjałów, albo przynajmniéj takich, które nie długo po opowiadanych wypadkach powstały. Najważniejszą część tych kronik stanowią zazwyczaj ustępy końcowe, które opowiadają obszerniéj o wypadkach współczesnych i należą tym sposobem poniekąd do pamiętnikowéj literatury. — Ważném źródłem takich kronik była niekiedy ustna tradycja, która i dzisiejszemu dziejopisarstwu, bądźto w właściwéj swéj postaci, bądź téż w formie staréj poetycznéj literatury służyć może poniekąd za materjał historyczny. Do drugiéj grupy należy wreszcie pod pewnym względem wiele materjałów grupy pierwszéj, mianowicie wszelkie archeologiczne pomniki, monety i budowle, o ile się na nich znajdują napisy; są to wprawdzie po największéj części niedostateczne i fragmentaryczne źródła, ale przechowują często szacowne, zkądinąd nieznane wiadomości, a niekiedy zawierają nawet wcale obszerne opisy. Szczególnie w historji starożytnéj, a zwłaszcza orjentalnéj, odgrywają one niezmiernie ważną rolę; dzieje egipskie, perskie i babilońskie przybrały zupełnie nową postać od czasu, jak epigrafika w umiejętny sposób napisami zajmować się zaczęła.

Takim materjałem rozporządza badacz dziejów. Każdy przyzna, że pierwszym stopniem w pracy dziejopisarskiéj być musi gruntowne zbadanie i ocenienie samego materjału; dopiéro poznawszy go należycie, można budować zeń dzieje, zużytkowując tylko taki materjał, który się ostał w obec prób krytyki. To krytyczne badanie samych źródeł rozmaitą przybiera postać, stósownie do rozmaitości w źródłach panującéj; niektóremi działami téj pracy zajmują się odrębne t. z. pomocnicze nauki, niektóre należą bezwarunkowo do zakresu historyka w właściwém znaczeniu. Tak więc wszelkie niepiśmienne zabytki pierwszéj grupy źródeł historycznych należą do zakresu archeologji, z wyjątkiem monet, któremi się numizmatyka zajmuje. Pokrewną poniekąd obydwu tym naukom jest epigrafika; jéj zadaniem jest — jak nadmieniono — badanie napisów.

(Dokończenie nastąpi.)

MAM DWA DOMY.

Fraszka sceniczna w 3 aktach

przez

Włodzimierza Wolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena V.

Ciż i profesor.

Profesor (wchodząc niepostrzeżony staje w głębi n. s).

Bardzo dobrze. Spostrzegam we drzwiach falbanę Syreny. Będzie się miał z pyszna Kajetan, jeśli się wygadał ze szczegółami, o których mi szeptał.

Wojciech.

Do konkluzji przyjmij pan remarkę od emigranta, że kto kompatrjotom za pomocą wrogów chce szkodzić, gotów posunąć się i do gorszéj zdrady.

Profesor (głośno).

Cóż tu za zwada i za zdrada?

Wojciech.

Kankanów mi nagadał ten pan o Stanisławie, o Damazych...

Kajetan.

Wszak prosząc o tajemnicę — panie kapitanie.

Wojciech.

Ja przed starym... profesorem nie mam żadnych tajemnic.

Profesor (n. s).

Bodaj-że go!

Wojciech.

Pod tym względem.

Profesor (n. s.)

Przecie wyprzytomniał. Falbana ulotniła się.

Wojciech.

Możesz pan być pewnym, że to wszystko antere pomiędzy nami trzema, ale — ma foi — chociaż stary już jesteś, zasługiwałeś na lepszą sawonadę.

Profesor.

Proszę o głos. Eros, alias bożek miłości, dziwne wyprawia psoty. Jednych podwyższa, drugich przeciwnie. Ten oto pan Kajetan żył sobie pracowicie i regularnie, jak najpoczciwszy z zegarków — bardzo dobrze. Naraz — rozgorzawszy płomiennym afektem dla panny Klementyny, dziwnie, pod wpływem doradców, pobałamuciła się maszynka jego życia i wszystkie jéj niedokładności odtąd się rozpoczęły. Ergo — pożegnawszy daremne ułudy i wyplątawszy się z brudnéj intryżki — przy pracy — maszynka wróci do dawnéj działalności.

Kajetan.

Mówiąc — łatwo, ale kochając się w pannie Klementynie istotnie i na prawdę (płacze).

Wojciech.

Sacre Dieu — niewart-eś nawet Waćpan służyć w trenach, u smarowozów. Któż tak beczy — ma foi? Ale że beczysz sérieusement, że widzę kochasz się bez plaisanterie w Klimci, podaję ci rękę. Napraw — coś nabroił.

Profesor.

Bardzo dobrze. — Winienem ci dodać kapitanie, że pan Kajetan ma krewnego na Syberji i co kwartał najsumienniéj posyła mu sumkę z własnych pieniędzy, z dobréj woli i nie chwali się przed nikim.

Kajetan.

Prawdę mówiąc — powinność.

Wojciech.

Ma foi — to uczciwie.

Profesor.

Cofnij więc, kapitanie, zarzut o zdradę, bo téjby się niedopuścił — ręczę.

Wojciech.

Pardieu! Owszém!

Kajetan (n. s.)

Na prawdę poczciwi ludziska. Ostro mówiąc, prawdę mówią. Jakoś mi lżéj na sercu. (Głośno). Wyznając szczerze, głupstwo z tym Pfeferkuchenem — wyznając tudzież niemniéj szczerze, wszak to nie z mojego konceptu.

Wojciech.

N'importe kto więcéj trampował! Choćby nawet mój brat, dość — że pan trampowałeś. — Basta! Otrzyj pan gębę i gadajmy jak ludzie.

Kajetan (znowu płacze).

Chyba podając się do dymisji, idąc do klasztoru, zdołam uspokoić...

Profesor.

Tempus, czas i labor praca wszystko uspokaja, panie Kajetanie!

Kajetan.

Mówiąc — to łatwo. (Przytyka chustkę do oczu i odchodzi. Spotyka we drzwiach Damazego).

Scena VI.

Ciż i pan Damazy.

Pan Damazy.

Gdzież to — panie Kajetanie? Oczy ci poczerwieniały — płakałeś, czy co?

Profesor.

Dym od cygar... (Kajetan odchodzi).

Wojciech (n. s.)

Zabawił mnie, ma foi, ten baba-mężczyzna.

Pan Damazy.

Braciszku drogi! Chociaż liściki wcale nie szczególnie dzisiaj stoją — zawsze masz sumkę 8,750 złp., czyli 1,282 rs. i 50 kop. częścią w pół-imperjałach, częścią zaś papierami. — Przeliczmy!

Profesor (n. s.)

Ręczyłbym, że go orżnął na zmianie.

Wojciech.

Ma foi — wierzę — lepiéj liczysz odemnie.

Profesor.

Bardzo dobrze.

Wojciech.

Ja lubię rachunki rond, bracie, więc akorduj mi tę łaskę i przyjmij 750 złp. na żużu, gato — lub co chcesz dla dzieciaków.

Profesor.

Bardzo dobrze. (N. s.) Znów drugi Radziwiłł! Oszaleli — paść lichwiarza.

Pan Damazy (całując Wojciecha w oba policzki).

Braciszku najdroższy! Zbyt masz poczciwe serduszko, nie mogę przyjąć. (N. s.) Przewidywałem — Pelcia się ucieszy z téj niespodzianki.

Wojciech.

Proszę cię, bracie! Bierz, przyjmij, ma foi, nie żenuj się!

Profesor.

Brać — kiedy magnaci dają.

Wojciech (nagle).

Ja w aferach lubię prędko i stanowczo. Słuchaj, bracie Damazy! Zdeklarował mi się dzisiaj twój kolega Stanisław o rękę Klimci. Dzieciaki kochają się od dawna, prawdziwie...

Pan Damazy (n. s.)

Aj — aj — wiedzieli do kogo trafić. Druga niespodzianeczka wcale nieprzyjemna. (Głośno). Klimcia, braciszku, tak młoda jeszcze i może zrobić lepszą partję.

Wojciech.

Według mnie dzisiejszy jéj szua (choix)...

Profesor.

Wybór.

Wojciech.

Wyborny, lepszego nie potrzeba.

Pan Damazy.

Ależ, braciszku, trzeba bliżéj znać Stanisława, oraz mnóstwo innych okoliczności. Zresztą on goluteneczki jak święty turecki, zaledwie ma sperandę nędznéj posadziny na prowincji.

Wojciech.

N'importe! Trzeba na to poradzić. Dzieciaki, jak ci mówiłem, kochają się i prosili, żeby ich prośbę

apiujować u ciebie. — Więc prosiłbym, życzyłbym sobie, abyście na ślub zezwolili.

Profesor (n. s.)

Decidive — niech go nie znam!

Pan Damazy.

Wosiuniu najdroższy! Niepodobieństwo zdecydować się od razu. Zachodzą przeszkody, potém ci opowiem, wierzaj mi! Dla dobra Klimci wypada wstrzymać się.

Wojciech.

Co za niepodobieństwo, co za przeszkody, po co te dele (délais). Proszę, życzę i à la fin des fins właśnie dla dobra Klimci chcę żeby się pobrali. Rozumiesz, bracie Damazy?

Pan Damazy (n. s.)

Co się stało Wosiowi?

Wojciech.

Musiał ci nieboszczyk brat Jan opowiadać, że jak służyłem w szkole i w pułku, a zdarzyła się szkapa dzika lub narowista, któréj nikt nie mógł montować; ja zaś powiedziałem sobie że dosiądę, — to choćbym tysiąc razy miał kark skręcić, musiałem szkapę zdątować. Więc — ma foi — jak czego chcę na serjo, to — coûte que coûte albo mnie djabli porwą, albo musi być jak chcę. (Łagodniéj). Więc — ma foi — proszę cię, zaklinam, zdecyduj się, zezwól bracie!

Profesor.

Bardzo dobrze. (N. s.) Jakby szwadronem dowodził.

Pan Damazy (n. s.)

Aj — aj — sam nie poradzę, trzeba zawezwać sukursiku. (Głośno.) Pelciu, Pelciu — duszeczko!

Scena VII.

Ciż i pani Damazowa.

Pani Damazowa.

Idę, kotku, idę. (N. s.) Ach ten pies Kajetan!

Pan Damazy (n. s.)

Wypada go naprzód udobruchać. (Głośno.) Wosio za dobry, stokrotko! Podarował 750 złp. na ciastka i zabawki dla Fipcia, Ciuni i Kloci — to za nadto po pańsku.

Pani Damazowa (czule).

Pan brat istotnie zbyt łaskaw i szlachetny (chce go pocałować).

Wojciech (wstając).

Bagatel — kochana bratowo! (N. s.) Miusk znieść nie mogę.

Pan Damazy (n. s.)

Niema co — zaczynajmy! (Głośno). Prócz tego, aniołku, kapitan wniósł instancję za panem Stanisławem, który oświadczył się mu o rękę Klimci.

Pani Damazowa (n. s.)

Szlifibruk — sprytnie się wziął do rzeczy. Rozważywszy kategorycznie, kto wié, czy nie lepszy od Kajetana? Pozbędziemy się z domu pannicy, która w łaskach u kapitana.

Pan Damazy.

Cóż ty na to?

Pani Damazowa.

Zdaje mi się, że Klimunia jeszcze zbyt młoda, a zresztą...

Profesor.

Wolałabyś pani wydać pannę Klementynę za swego faworyta p. Kajetana — prawda?

Pani Damazowa.

Ja? Za tego niedołęgę, plotkarza, brzydala? Ja? wydać Klimcię? Zkąd pan przypuszczasz?

Pan Damazy (n. s.)

Nie pojmuję ani odrobinki co się Pelci stało?

Profesor (n. s.)

Kajetanisko musiał nabajać niestworzonych rzeczy. (Głośno). Chłopiec regularny, nabożny, przytém, chociaż wcale niezły ma dochód, nie byłby taki głupi jak Stanisław, co chciał zrzec się całego posagu panny Klementyny, abyście tylko państwo na ślub zezwolili.

Pan Damazy (żywo).

Stasiulek — czy być może — Stasiulek? (po chwili) W paniczyka lubi się bawić.

Pani Damazowa.

Fanfaron! Że tam rodzice dzierżawą chodzą, zdaje mu się, że paryzki elegant i europejski człowiek.

Pan Damazy.

Birbant.

Pani Damazowa.

Nieregularny.

Wojciech.

Basta! Wszystkich objekcji waszych nie można brać na serjo. Marjaż dzieciaków odbyłby się i bez waszéj permission — mais wypada, kochani braterstwo, żeby się pobrali za waszą permission. Wierzajcie mi, że to dla dobra Klimci, sieroty po naszym zacnym Janie, który nie zapomniał o bracie wygnańcu i zostawił fundusz, tak dla mnie wiernie zakonserwowany u ciebie, bracie Damazy!

Profesor.

Bardzo dobrze.

Wojciech.

Więc — ma foi — kochani braterstwo — proponuję rzecz zaaranżować w następny sposób. Daję natychmiast dzieciakom, to jest Klimci, na zagospodarowanie, połowę sumy, czyli 4,000 złp.

Profesor (n. s).

Oszalał stary.

Pani Damazowa (n. s)

To ma szczęście dopiéro — błaźnica.

Pan Damazy (n. s.)

Cztery tysiączki? Całą gębą po pańsku. Co to daléj będzie.

Wojciech.

Sumę tę w obecności starego mojego kamrata a raczéj profesora, składam w twoje ręce, bracie Damazy; dasz mi resiu i deklarację na piśmie, że Klimci zaraz po ślubie wypłacisz, pod warunkiem sine qua non, żeby nie wiedzieli, iż odemnie pochodzi. Dasz im więc monako, quasi od siebie.

Profesor (n. s.)

Mente captus.

Pani Damazowa.

Jeśliby wreszcie małżeństwo przyszło do skutku, niech pan raczy wierzyć, panie kapitanie, że pańskiemu żądaniu i bez zobowiązania na piśmie najkategoryczniéj zadosyć uczynimy. Przecież pan brat będzie obecny...

Wojciech.

Ja w interesach jestem rą, kochana bratowo, i lubię, żeby wszystko szło onet i formalnie.

Pani Damazowa.

Zapewne — ma pan brat słuszną rację.

Pan Damazy.

Zapewne, Wosiuniu, zapewne.

Wojciech.

W deklaracji proszę cię dopisać z łaski swojéj, że Klimci dot

Profesor.

Posag.

Wojciech.

Oddasz jéj, skoro dojdzie do mażorite, pełnoletności, to jest za lat dwa, a do téj epoki będziesz łaskaw im płacić od 12,000 złp. 1,200 złp. rocznie.

Profesor (n. s.)

Krótko i węzłowato — jakby szablą płatnął.

Pan Damazy (n. s.)

A to Wosio umie rozkazywać. (Głośno). Braciszku najukochańszy — 10% okropny procent. Sumka wprawdzie wybornie zabezpieczona, ale na znacznie niższy procent.

Wojciech.

Na jakiéj hypotece?

Profesor (n. s.)

Conticuere omnes. Zamilkli wszyscy.

Pani Damazowa (n. s.)

Kajdaniarz Kajetan!

Pan Damazy (n. s.)

Nie sądziłem, żeby Wosio miał taki fersztandek do interesów. (Głośno). Na nieruchomości miejskiéj zahypotekowana. — Zresztą — rozważywszy, możnaby im płacić po 100 złp. miesięcznie przez lat parę, jeśli małżeństwo przyjdzie do skutku.

Wojciech.

Comment — jeśli? Musi przyjść, już jakby przyszło. Co zaś do procentu — ma foi — nie taki znów on gruby i suponuję, że tu grubsze pobierają uziurjery.

Profesor.

Lichwiarze. Optime.

Pani Damazowa (n. s.)

Szubienicznik Kajetan!

Pan Damazy (głośno obcierając nos, n. s) Jakby mi nieco krew uderzyła do głowy. Widać portwajnik, co piłem z rana z jednym interesencikiem.

Wojciech.

Proszę więc, bracie, odlicz z łaski swojéj 4,000 złp. i napisz mi, zaraz, jak-eś dobry, resiu i deklarację. (Po chwili.) Dziękuję wam, kochani braterstwo, żeście mi akordowali tę łaskę. (Ściska rękę Damazego i Damazowéj).

Profesor (n. s.)

Szanowne stadło jakby się ością udawiło.

Pan Damazy (odprowadzając żonę na bok).

Jak myślisz, kotku?

Pani Damazowa.

Zbrodniarz Kajetan okropnych plotek nagadał na nas przed kapitanem. Inaczéj bym ja się o Stanisława rozprawiła, gdyby nie ten wisielec.

Pan Damazy.

Kajetan — Kajcio? A to drapichrust, dam ja mu.

Pani Damazowa.

Zawsze kapitan podarował na początek dzieciakom 750 złp.

Pan Damazy.

Sto kilkanaście rubli. — Jak myślisz kotku?

Pani Damazowa.

Chyba wypada...

Pan Damazy.

Chyba trzeba. (Głośno). Zaraz, Wosiu kochany, pójdziemy z Pelcią do kancelaryjki i wygotuję, kiedy chcesz koniecznie, wyż wspomnianą deklarację. W te pędy, Wosiu, w te pędy!

Scena VIII.

Wojciech i Profesor.

Wojciech (zgarnąwszy pieniądze do kieszeni, siada zamyślony, n. s.)

Coraz mi przykrzéj, ciężéj coraz. Dałem sobie jednak parol, że muszę postawić na swojém — więc jeszcze moment męczarni.

Profesor (zbliża się z ukłonem).

Szanowny Radziwile Nr. 2! Podziwiam, uwielbiam stanowczość, oraz winszuję zdobycia wstępnym bojem pozycji, jaką uważałem za niezdobytą. Racz mi jednak wytłumaczyć, czy siedzisz na skarbach djabła Boruty, że w twoim wieku podarowywasz cztery tysiące, jak ja naprzykład cztery cygara?

Wojciech.

Mój poczciwy Antku! Sam jestem na świecie jak kołek i dla sieroty po Janie miałem święte dewuar.

Profesor.

Obowiązki. Świętsze od twoich miał jéj opiekun Damazy. Nie wspominając już o tém, Radziwile szanowny, powiedz mi, czemu żądasz, żeby Damazy dał niby od siebie pieniądze pannie Klementynie?

Wojciech (n. s,)

Ma foi — powiem. (Po chwili). Zgryzłby się stary, zresztą mam inną rezą. (Głośno). O ile poznałem Klimcię i poczciwego ułanka, suponuję, że dowiedziawszy się o mojéj pozycji, nie akceptowaliby.

Profesor.

Delikatność jest kwintesencją dobrego serca — to kożuszek na śmietance. Poczciwyś bracie! (Ściska mu rękę).

Scena IX.

Ciż — pan Damazy i pani Damazowa.

Pan Damazy.

Otóż — braciszku kochany — żądany kwitek i deklaracyjka. Racz przeczytać!

Wojciech.

Oczy mnie bolą, przeczytaj, kochany... profesorze.

Pani Damazowa (n. s.)

Proszę... jak się rozkochał w tym fajczarzu!

Profesor (n. s.)

Ciekaw-em czy kruczka jakiego nie znajdę? (czyta, po chwili z uśmiechem n. s.) Nie. Kroją snać na grubsze zyski. Złapał się kotek z kotką. (Głośno, oddając papier Wojciechowi). Bardzo dobrze. I kwit i zobowiązanie dokładne.

Wojciech.

Merci jeszcze raz — kochani braterstwo. Ma foi — teraz bez ceremonji napiłbym się dmitaskę z ptiwerkiem, kochana bratowo!

Pani Damazowa.

Zaraz kawę podadzą.

Profesor (do Wojciecha).

Muszę dobrą nowinę oznajmić pannie Klementynie.

Wojciech.

Chodźmy razem — zwołamy i ułanka. (Odchodzą).

Scena X.

Pan Damazy i pani Damazowa.

Pan Damazy.

Cztery tysiączków wypuczył oraz 750 złp. jakby nigdy nic. Dla Klimci pyszny podaruneczek, ale i dla dzieciaczków niczego. — Mówiłem ci, serce, jakie ma poczciwe serduszko.

Pani Damazowa (n. s.)

Przewiduję prezent i dla mnie. (Głośno). Obawiam się, aniołku, czy ten rozbójnik Kajetan nie popsuł nam u brata?

Pan Damazy (chodząc zamyślony).

Zawsze wypłacę Klimci mniéj o 4,750 złp. — i to dopiéro po dwóch latach.

Pani Damazowa.

Przez dwa lata dużo wody upłynie. Można się będzie jeszcze ułożyć z tym szlifibrukiem Stanisławem. Utracjusz! ręczę, że częściowo będzie wybierał. Klimcia rozkochana na wszystko przystanie — serce! (N. s.) Udało się błaźnicy. Poczekaj! Nie wszystko złoto co się świeci; nie będziesz tak szczęśliwa z twoim dryblasem jak sądzisz.

Pan Damazy (chodząc zamyślony).

Częściowo — Stasiulek — kto wié, kto wié! Czy namówić Wosia żeby sprzedał domy i skłonić do jakiéj antrepryzki, którąbym ja kierował? Czy lepiéj, żeby mi powierzył większy kapitalik? Gotówbym dać mu nawet ośm, nawet dziewięć od sta. —

Pani Damazowa.

Obawiam się, Daziu, czy ten zdrajca Kajetan?

(Dokończenie nastąpi).

TEATR.

Z okazji przedstawienia „Wesela Figara" podczas ostatniéj bytności teatru krakowskiego w Poznaniu rozpisaliśmy się obszerniéj o charakterze i znaczeniu znakomitéj trylogji Carona de Beaumarchais, któréj część pierwszą p. t. „Cyrulik Sewilski" ujrzeliśmy na tutejszéj scenie po raz pierwszy przed kilku dniami.

Biedny autor, ani się spodziewał, co się to stać może z jego kaustycznym dowcipem, w co się obrócą wspaniałe przenośnie i ta sławna definicja potwarzy w ustach naszego prowincjalnego don Bazilia? Nie będziemy nawet krytykować ani robić imiennych uwag, wszystkie bowiem role wykonane były miernie lub zgoła źle, ponieważ zaś wiemy nadto dobrze, że artyści nasi są w stanie odegrać tę komedję prawidłowo, to przyczynę ogólnéj klęski z 12 grudnia przypisujemy wyłącznie zbyt pospiesznéj wystawie bez należytego przygotowania i częściowo niefortunnéj obsadzie niektórych ról!!!

Następny wieczór przyniósł głośną z powodzeń na warszawskiéj i krakowskiéj scenie komedję p. Bałuckiego „Radcy pana radcy" w któréj odznaczył się bardzo dobrą grą p. Benda (Dziszewski). Dla lokalnego charakteru i zupełnie w mieście naszém obcych typów, komedja ta, zresztą z niepospolitym talentem napisana, nie miała znaczącego powodzenia. Sytuacje, cała oś intrygi, wyrwane zupełnie oryginalnie z rdzenia krakowskiego życia, przemawiają przedewszystkiém do tych, co znają i stykają się z tém życiem, co znają owe pocieszne małomieszczańskie śmiesznostki, które p. Bałucki niemiłosiernie wysmagał. Na naszym społecznym horyzoncie inne zupełnie ukazują się sylwetki wpraszające się usilnie na dowcipne pióro — postacie jednak p. B. tak wyborne dla Krakowa, w Poznaniu mało kogo ubawić mogą.

Tegoż samego wieczora dawano operetkę „Taraban — mały dobosz", składającą się z mięszaniny rozmaitych motywów muzycznych mniéj lub więcéj przestarzałych. Nie robimy z tego najmniejszego zarzutu, pojmujemy bowiem, że dyrekcja przygotowując wystawę kilku znakomitych dzieł muzycznych, posiłkować się musi chwilowo czém można, żeby tylko odpowiedzieć życzeniom lubiącéj muzykę publiczności.

Wykonanie operetki było we wszystkich szczegółach zupełnie zadawalniające, a zarówno znany sopran panny Macharzyńskiéj (Taraban) jak piękny bas pana Trojackiego (Groscanon), zarówno wyborna komika p. Puchniewskiego (Tirebouchou), jak wesołe psoty panien Żeromskiéj (Caprice) i Biron (Teresa) utrzymywały widzów w wesołém usposobieniu.

„Posażna jedynaczka" hr. Fredry (syna) i „Żywy nieboszczyk" Benedixa wypełnili ostatni wieczór, o którym mówić mamy.

Pierwsza z wymienionych komedji znaną jest ogólnie jako tryskająca wesołością i ubarwiona bogactwem dowcipnych sytuacji farsa, któréj byt na scenie zapewniony jest na długo. Wykonanie jéj było tak doskonałe, tak pełne gładkości i werwy, że przeglądając leżący przed nami afisz, jesteśmy w kłopocie, kogo wyszczególnić?

Zarówno papa Szumbaliński (p. Benda), jak żywcem na podolskich stepach schwytany Ratatyński (pan Moszyński) stanowili istnie koncertową dwójkę skończonych typów, od których odwracał tylko uwagę stary Błażéj (p. Molski), oddany we wszystkich szczegółach wzorowo.

To tylko część.

Cóż powiedzieć o ślicznym bukiecie pięciu córek papy Szumbalińskiego?

Wybaczcie panie, że przez wzgląd na liczny wasz poczet, kolejno wyliczać nie będę — byłyście wszystkie i każda z osobna wyśmienite!

O „Żywym nieboszczyku" pisaliśmy w jednym z przeglądów literackich, w chwili, kiedy się ukazało tłomaczenie p. Józefa Dobrowolskiego — dziś dodajemy tylko: „Requiescat in pace!"

Przechodzimy w końcu do pani S. Orskiéj z Drezna, która występowała w międzyaktach tego wieczoru z koncertem, o nader pięknym programie.

Pierwszego tego występu fachowo rozbierać nie możemy, zbyt bowiem cenimy wokalny talent p. Orskiéj, aby o nim dziś już stanowczo wyrokować.

Publiczność przyjęła śpiewaczkę niezwykle sympatycznie. Za każdym ustępem grzmiały oklaski, sypały się kwiaty.

* * *

Bawi również w naszém mieście znana z talentu sopranistka panna Wanda Kleczkowska-Bogdani, która doznawszy w Berlinie wielkiego powodzenia, wystąpi 4 razy w tutejszéj niemieckiéj operze. Nie wątpimy ani na chwilę, że i nasza dyrekcja zdoła pozyskać ją choć na parę występów.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE o RZECZACH POLSKICH.

— Odbieramy następujące pismo z prośbą o zamieszczenie:

Rapperswyl, 6 grudnia 1872.

Szanowny Redaktorze!

Zarząd Muzeum Narodowego nie zajmuje się stawianiem nowego pomnika, ani mniema, że budowanie Polski powinno być głównie po za Polską, jak to zdajesz się twierdzić w Nr. 48. Zarząd jest zdania, że przyczyniać się wszędzie należy do dzieła odbudowania Polski, i że obecnie w kraju nie ma żadnéj rękojmi bezpieczeństwa na przyszłość dla jéj Muzeum Narodowego, ponieważ na ziemi polskiéj nie skończyły się boje. Polacy nie są ludem Izraela rozpierzchłym, i nie synagogi potrzebują, jak słusznie powiadasz, ale przybytku bezpiecznego dla swych penatów.

Z rzetelnym szacunkiem
F. H. Duchiński,
konserwator Muz. Narod. w Rapperswyl.

Z naszéj strony nic więcéj nad to, co oświadczyliśmy w Nr. 48, nadmienić nie mamy. Nie występowaliśmy przeciw Muzeum w Rapperswyl, lecz przeciw stawianiu pomników polskich na obcéj ziemi. Jesteśmy bowiem sumiennie przekonani, że najgodniejszym sposobem uczczenia pamięci wielkich naszych mężów będzie oswobodzenie téj ziemi, którą tak kochali i w któréj spoczywają. Potém pomyślimy o spiżach i marmurach.

Co się tyczy specjalnie Muzeum narodowego w Rapperswyl, to życzymy z serca, aby mrówcza skrzętność pp. Platera i Duchińskiego znalazła jak najogólniejsze poparcie, na które tak zasługuje.

* * *

Berlińska „Vossische Zeitung" w dziale muzycznym wspomina o mianym tamże w sali akademji śpiewu koncercie **K. E. Bacha**, którego słyszeliśmy w tym roku w Poznaniu; w koncercie tym wziął udział p. **Taborowski.** „Pan Taborowski", mówi wzmiankowana gazeta, grał koncertowy utwór Vieuxtemps'a i przedstawił się nam jako istotnie utalentowany, gruntownie wykształcony skrzypek, posiadający wyborną intonację, dźwięczny ton, wysoko rozwiniętą technikę i znakomity dar wykonawczy. Publiczność przyjęła jego występ grzmotnemi oklaskami." — Tenże sam dziennik wspomina o koncercie p **Friemana**, którego nazywa utalentowanym i prawdziwie artystycznie ukształconym muzykiem. Jak nam donoszą z Berlina, wszystkie większe gazety pisały o obu tych naszych wirtuozach; niektóre z nich nawet, jak n. p. Germanja, obszerne im poświęciły recenzje.

* * *

†

Seweryn hr. Mielżyński

dnia 17 grudnia.

Skrzynka do listów.

P. Wł. B. we Lwowie: Wszystkie artykuły naszéj książki zbiorowéj są czysto polskie i historyczne. Każden nieuprzedzony przekonać się może na pierwszy rzut oka. Ogólne lamentacje na temat „O straszna zbrodnio" zostawiamy frazesowiczom, o zdanie zaś ludzi przeciwnych z zasady wszystkiemu, co od nich nie wychodzi, nie dbamy.

Prosimy wziąść egzemplarz książki pamiątkowéj na nasz rachunek z księgarni polskiéj.

(Odezwa).

Do N. N. — Thorn — odesłano bardzo dawno.
X. X. proszę bardzo o odpowiedź.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.